ROZDZIAŁ 4

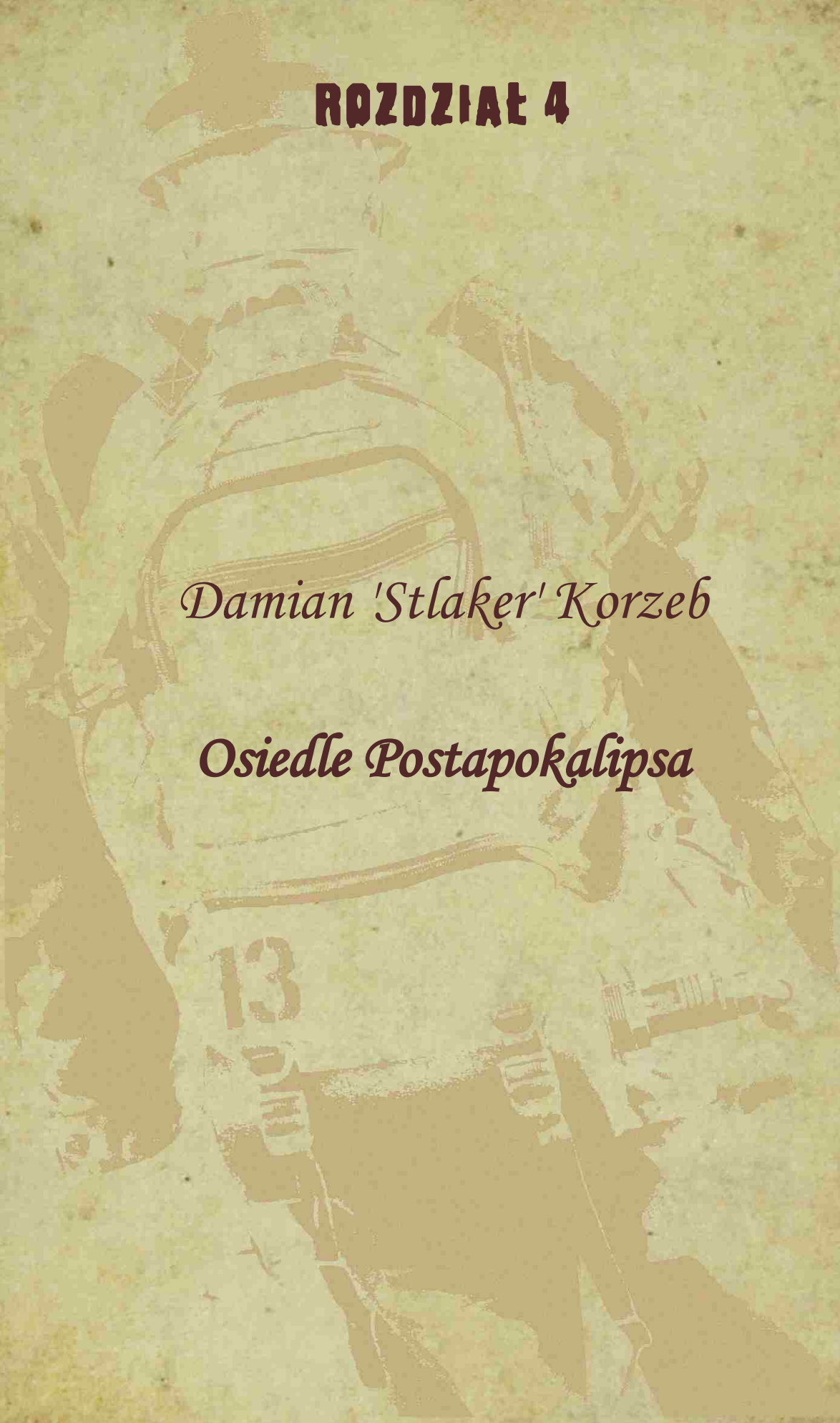

Damian 'Stlaker' Korzeb

Osiedle Postapokalipsa

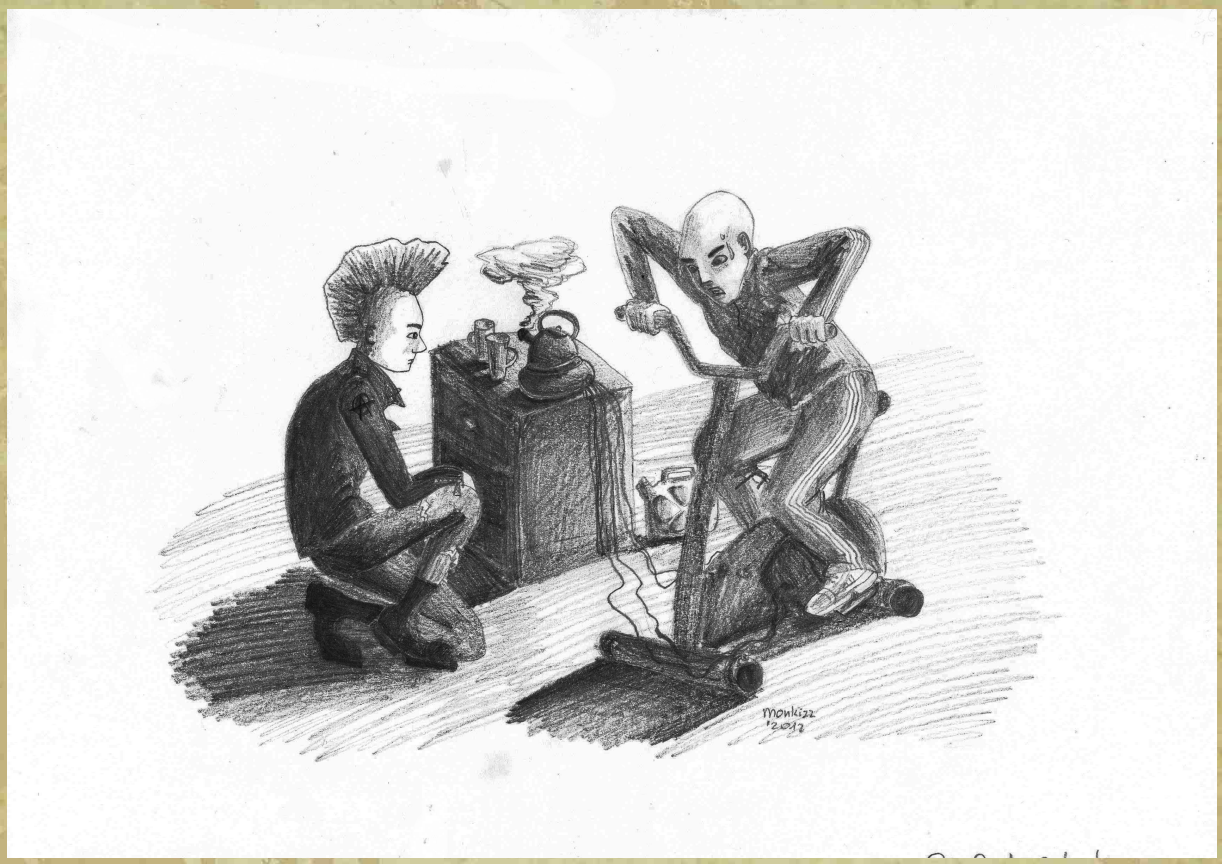
monkizz
'2012

— Ej, słuchaj, Jacek, słyszysz mnie?!

— Czego tam znowu?! — Głos mężczyzny, mimo że potężny, był przytłumiony przez maskę przeciwgazową.

— Patrz, co znalazłem, chodź tu! — Odezwał się głos z drugiego pokoju, najwidoczniej nieprzytłumiony przez maskę, bo był dość dobrze słyszalny.

Mężczyzna ubrany był w dres Adidasa w kolorze granatowym. Twarz Jacka była zasłonięta przez maskę, jedyne, co się rzucało w oczy to wystający czubek głowy, który dawno nie widział włosa na glacy, a to, dlatego, że Jacek codziennie staranie używał maszynki do golenia, znalezionej w jakimś sklepie. Po chwili Jacek znalazł się w drugim pokoju, który wraz z Tomkiem staranie szabrowali od pół godziny. Tomasz był diametralnie inaczej ubrany od Jacka. Miał poszarpane spodnie, typu jeans, liczne naszywki z nazwami nieżyjących już ludzi, na głowie staranie sterczał irokez w barwach tęczy. Tors Tomka okrywała skórzana kurtka, a pod nią przebijała się kamizelka kuloodporna. Mężczyzna zbliżył się do klęczącego kolegi. Zajrzał mu za ramię.

— Patrz stary! Co znalazłem! Prawdziwy browar! Wiedziałem, że wyprawa do tego monopola na osiedlu się opyli. Dużo ludzi nie wiedziało o tym miejscu. — Gęba punka była wykrzywiona w radosnym uśmiechu, który ukazał braki w uzębieniu.

— O w mordę ! Ty wiesz, ile ja tego nie piłem? Chyba od wybuchu bomby. Myślałem, że już wszystko wypili co zostało, a tu proszę! — Jacek wyraźnie się uradował. Postanowił zdjąć maskę, co robił nader nie często. Twarz Jacka była dość normalna, nie licząc bokserskiego nosa i braku górnej jedynki.

— No dobra, Jacek, chyba po pół co ? — Punk pokazał palcem na puszkę wskazując poziom, który ma zostać dla niego!

— Nie ma sprawy, trzeba się dzielić — Jacek szybko łyknął swoją połówkę i dał resztę punkowi. Tomek szybko przechylił piwo.

— AMBROZJA ! — wrzasnął punk.

— Zgadzam się — serdecznym tonem odpowiedział Jacek.

Obaj mężczyźni wstali pośpiesznie i udali się w kierunku wyjścia ze sklepu, postanowili wyjść tylnym wyjściem, przez magazyn. Szybko opuścili stary zdemolowany sklep monopolowy. Jacek wyciągnął spod dresu stary, lekko zardzewiały radziecki rewolwer. Natomiast Tomasz dysponował już rasowym Uzi schowanym pod kurtką. Mieli taką taktykę,

bycie nie uzbrojonym po zęby pozwalało na rabowanie złodziei, którzy ich chcieli okraść.

— Tomek to gdzie teraz ? – Jacek, pytając, drapał się delikatnie w czaszkę lufą rewolweru. Punk widząc to pokręcił głową.

— Słuchaj, Jacek, a jak kiedyś ci to palnie w łeb? Lubisz ryzyko, co? — Mężczyzna jeszcze bardziej kręcił głową, aż Jacek poczuł falowanie wiatru, biegnące od irokeza Tomka.

— A daj spokój, przecież nie naciskam na spust, nie?! — Jacek wyszczerzył zęby. Nic to nie dało bo maska zakrywała wszystko.

— Idziemy do bazy, na dziś starczy tych eskapad. — Smutno poruszył ramionami Tomasz.

— W sumie masz rację, zbliża się noc. Wtedy wyłażą te paskudztwa i najgorsze męty. — Z obrzydzeniem wstrząsnął się Jacek.

Mężczyźni szli w kierunku centrum miasta, gdzie mieli tajną bazę. Wszędzie walały się szczątki budynków z wielkiej płyty. Co prawda epicentrum wybuchu było oddalone o jakieś 50 kilometrów; jednakże fala uderzeniowa była tak potężna, że zdołała strącić wierzchołki wielopiętrowych bloków, które wyglądały jak połamane zęby. Mniejsze budynki też nie nadawały się do użytku, ponieważ roiło się tam od bandytów bądź kanibali. Centrum było opustoszałe, ze względu na grasujące tu bandy kryminalistów i łowców od kanibali. Po chwili mężczyźni opuścili osiedle i szli wśród spalonych pni starych drzew, które kiedyś były parkiem im. Mikołaja Kopernika. Po czym Jacek powoli obrócił się do Tomka, który szedł kołysząc swoją kolorową czuprynkę.

— Ej, Tomek ! Pamiętasz? — Z tęsknością powiedział Jacek.

— Tak, tak, też się tutaj uczyłem jeździć na rowerze i pocałowałem pierwszą laskę. — Obojętnie odpowiedział Tomek.

— Nie to miałem na myśli, ja tutaj miałem pierwszą w życiu ustawkę, przyniosłem wtedy łańcuch od krowy i wybiłem jednemu dwie jedynki. Ah to były czasy, przemoc dla zabawy, nie z konieczności! — Wzruszył się mężczyzna w dresie. Jacek znowu poczuł falowanie powietrza na glacy. Domyślił się, że Tomek kręci głową.

— A idź, ty prymitywie. Łańcuch od krowy? Ja bym zabrał łańcuch od roweru, lepiej tnie ciało. — Jacek wzdrygnął się, nie znał towarzysza od tej strony.

Po chwili jednak spokojny jak dotąd marsz przerwał im dziwnie wyglądający wózek na niemowlaka. Był on wypełniony żarciem i nawet leżały w środku dwa browary. Takie rzeczy należały na ogół do

obwoźnych handlarzy, jednakże żaden z nich od lat nie miał w asortymencie browarów, nawet Staszek, który kiedyś pracował w okolicznej Biedronce.

— Ech, znowu ? — Zwątpił Jacek.

— No, nie narzekaj, są browary w środku, jeden wypijemy, a drugi będzie na handel! — Odpowiedział Punk z wybrakowanym uśmiechem.

— To jak będzie stary? Standard? — Szarpnął swojego radzieckiego gnata.

— Pewnie, czemu nie?

Mężczyźni ruszyli w stronę wózka, Jacek mierzył ze swojego starego pistoletu w stronę drzew. Po chwili znaleźli się koło wózka stojącego na środku alei. W środku do prawdy było pełno frykasów, nawet cukierki!

— O w mordę, czekolada! — krzyknął Jacek

— Nom. — Tomasz obojętnie dodał.

— No i gdzie oni są, ci napastnicy? — szepnął Jacek.

— Idą, nie widzisz? — wskazał głową Tomek.

W ich kierunku szło pięciu mężczyzn w kombinezonach, takich jak kiedyś mechanicy samochodowi nosili w pracy. Z tyłu nich szło kolejnych pięciu, ci z kolei ubrani byli w sweterki tureckie i poszarpane spodnie. Nie wyglądali na typowych Kiboli, którzy przemierzali Pustkowia, przynajmniej wyglądali na inteligentniejszych.

— Patrz, mają tylko pałki i noże, co za durnie — szepnął Tomasz w kierunku Jacka.

Mężczyźni byli już tak blisko, że Jacek słyszał ich oddechy. Jeden z nich posiadał starego glocka.

— Tomek, widzisz, tamten frajer w pinglach ma spluwę — Jacek cichym tonem wskazał na herszta bandy.

— Kurwa, oddawać, co macie a oszczędzicie życie, gnoje! — Wrzasnął herszt, wykrzywiając swoją zarośniętą twarz.

Tomek i Jacek stali jak pomniki. Nikt z nich nie zareagował na wulgarny ton i groźne miny.

— Patrzta, chłopy! Nie dość, że wyglądają jak idioci, to jeszcze głuche.

— Słuchaj no, frajerze w pinglach, oddajcie broń i cenne przedmioty to przeżyjecie! — Krzyknął zza maski Jacek, wcelowując swoją broń w stronę herszta.

— Ha, Ha, Ha, patrzta, chopy! Takim gównem, to możesz przekłuwać uszy! — Wyraźnym zabawnym tonem wrzasnął herszt. Cała grupa oprychów zaczęła rechotać jak staw pełen żab.

Tomasz lekko uśmiechnął się w kierunku bandy, spojrzał na Jacka i wskazał mu głową herszta.

— U, a ten co, słyszy jednak, wujek z irokezem! — Nabijał się dalej herszt.

— A to jak ci się podoba, menelu?!— Tomasz wyciągnął zawieszone na sznurówkach od trampek uzi i w mgnieniu oka zastrzelił dziewięciu mężczyzn, huk był tak potężny, że tamci nawet się nie zorientowali o co chodzi. Herszt oberwał w nogę aby nieść opowieść o dwóch takich co sieją postrach.

— Patrz, jak spiernicza, kulejąc. He, he, a był taki twardy! — Śmiał się Tomek.

— Takie to ci cwaniaki. Nie podskoczą wyszkolonemu żołnierzowi. — Dodał wesoło Jacek. Po czym wziął wózek i zaczął go pchać w kierunku legowiska.

— Ja ci, kurwa, dam żołnierza. Byłem nim, ale po Korei postanowiłem chrzanić to wszystko i zostałem punkiem. Jeszcze raz o tym wspomnisz, to kopnę cię w dupę! — Wyraz twarzy Tomka był bardzo agresywny.

Jacek się tylko uśmiechnął i poklepał kolegę po ramieniu. Z Tomka szybko zeszła nagromadzona para. Nie potrafił się długo gniewać. Dalsza podróż nie stanowiła większego problemu. Centrum było puste, jak te miasteczka na westernach koło południa. Jacek i Tomek kryjówkę zlokalizowali sobie w dzwonnicy jednego z kościołów. Nikt tam nigdy nie zaglądał. Bo tylko oni posiadali drabinę, która umożliwiała wejście na górę. Wieża kościelna była dobrym punktem obserwacyjnym, dlatego ją właśnie wybrali. Mieli nawet przeprowadzoną linę do sąsiedniego bloku, tak na wypadek ewakuacji. Nie wiele czasu minęło gdy znaleźli się w pobliżu kościoła. Na wieżę wchodzili nie bezpośrednio, tak jak kiedyś konserwator dzwonu, ale innym wejściem, przez piwnicę, wchodząc na stare kręcone schody prowadzące na poddasze kościoła, które Tomasz zasłonił jakiś starym regałem. Czyli nikt nie powołany nie mógł się dostać na górę. A nawet jeżeli ktoś znajdzie przejście i schody, będzie potrzebował drabiny aby dostać się do legowiska.

— Nie ma to jak w domu, co nie, Jacek ? – uśmiechnął się Tomasz.

— Właściwie mój dom był na osiedlu, ale z tego co widziałem, to leży on w postaci gruzu na podwórzu.

Mężczyźni doszli do drzwi, prowadzących do podziemi kościoła, które zalepiali taśmą bezbarwną, zerwana taśma oznaczała intruza. Tym razem wszystko było w porządku. Tomasz szybkim ruchem obejrzał okoliczne budowle, czyż nikt nie obserwuje ich wejścia do podniszczonego kościoła. Na horyzoncie było pusto. Długo to nie trwało jak Jacek otworzył drzwi i obaj weszli do ciemnych i wilgotnych podziemi. Szybko zaryglowali je kawałkiem szyny kolejowej i poszli w kierunku zastawionego przejścia, na samą górę.

— Tomek, chodź no, pomóż mi z tym starym regaliskiem, sam go nie dźwignę. — Z wielkim ciężarem w głosie stwierdził Jacek.

Tomasz szybko podszedł, złapał regał i przesunął go tak, że Jacek mógł wtoczyć do środka wózek. Za regałem była dziura w murze po starych drzwiach. Powoli zaczęli wyładowywać wózek do siatek powieszonych na ścianach.

— No, zobacz! Nic nie znaleźliśmy na mieście, a tutaj grupa frajerów sama przyniosła towar do rąk — Stwierdził miło punk.

— Ano, będziemy mieć niezły obiad i kolację.

Siatki mieli już załadowane, specjalnymi linami dociągnęli regał do ściany, zakrywając w ten sposób swoje tajne wejście. Zabrali siatki, obładowane wózkiem z towarem i zaczęli się wspinać po starych ceglanych, kręcących się schodach. Długo nie szli, ponieważ kościółek był nie zbyt wysoki. Jacek jako pierwszy dotarł na poddasze, trzymając w obu rękach siaty z produktami. Zmierzał w kierunku wieży, gdzie zaczynały się drugie schody.

— Ej, Tomek! Myślałeś kiedyś, czemu te wszystkie produkty jeszcze się nie zepsuły? — ze zdziwieniem w głosie powiedział Jacek, odwracając się w stronę Tomka.

— Co tam?! Weź zdejmij tę swoją maskę, bo nic nie słyszę !

Jacek posłuchał kolegi, postawił siatki na podłodze i zdjął maskę, wieszając ją za rurę na ramieniu.

— No, pytałem, czy zastanawiałeś się, czemu to żarcie się jeszcze nie zepsuło, przecież od wojny minęło sporo czasu.

Jacek ze zdumioną miną, spojrzał na krzywą gębę Jacka i z obojętnym wyrazem twarzy wyraźnie powiedział:

— A cholera wie? Może tyle konserwantów ładowali? A tak ściemniali z tymi datami? W końcu dżem nawet wtedy mógł wytrzymać 3

lata. To nie wiadomo czy i 8 by nie wytrzymał. Na razie przecież jemy sporo rzeczy i nic nam nie jest? A może też promieniowanie trochę konserwuje?

— To ciekawe, czemu są ci kanibale? Przecież jest jeszcze sporo zapasów? — Kiwał głową Jacek i pokazywał zęby w brakujących uśmiechu.

— No wiesz, ale wieprzowinki czy kurczaczka już nie ma, wszystko zjedli tuż po wojnie. A jak skończyły się zwierzęta gospodarskie, zjedli resztę. Teraz jedzą siebie nawzajem. Chorzy ludzie jak ten cały Norweg, pamiętasz?

— Ten z 2011? Blondyn? Ten o którym czytaliśmy w tej starej gazecie, w którą chciałeś zawinąć pistolet, żeby nie przemókł?

— Ta, ten idiota.

Panowie po chwili stali już u podnóża niewielkiego otworu, gdzie było wejście do ich legowiska. Jacek wyjął kawałek sznura, schowanego pod jakąś beczką, a Jacek hak zawieszony gdzieś pod sufitem. Przywiązali hak do sznura i rzucili w dziurę znajdującą się na oko ok. 3,4 m wyżej. Pierwszy raz się nie udał, hak spadł obok Jacka.

— Cholera — zaklął Tomasz.

— No dobra, spróbuję — Jacek, wziął i rzucił hak a ten walnął o coś metalowego i nie spadł. Jacek pociągnął, a tam powoli w ich kierunku zaczęła się obniżać metalowa drabina. Mężczyźni weszli po niej wraz z ciężkimi siatami. Wciągnęli drabinę i rozejrzeli się dookoła. Wszystko było tak jak zostawili. Czyli nikogo tam nie było. Dzwonu już nie było na miejscu. Nie wiadomo gdzie zniknął, możliwe, że nigdy go tam nie było. Dziurę służącą niegdyś dzwonnikowi, zasłaniali dwoma deskami, przez co sufit stawał się jednolity i ewentualny intruz nie domyśli się, że na górze ktoś ma legowisko. Wieża była dobrze oświetlona przez cztery otwory, zasłonięte drewnianymi żaluzjami. O dziwo dach nad nimi nadal stał i miał się dobrze. Tomasz wiele razy podziwiał tę barokową architekturę.

— Patrz, Jacek, jak kiedyś robili budynki. Wieża wytrzymała nawet wybuch bomby jądrowej. — Tomek stał zadumany, a jego ręce spoczywały oparte na biodrach.

— Ta, ta. Codziennie mi to powtarzasz. Ile można? — Z niechęcią i dziwnym wyrazem odpowiedział Jacek.

— A idź, ty dresiarzu, ignorancie. — Warknął w kierunku równolatka, który także miał 31 lat.

— Dobra, Tomek. Chodź zjemy coś, w brzuchu mam istną rewolucję październikową. — Brzuch Tomka zaburczał tak głośno, że ten dźwięk odbił się szerokim echem pod sklepieniem wieży kościelnej.

Mężczyźni szybko siedli na skrzynkach, po jakiś piwach, na których leżały poduszki. Stolik był całkiem fajny, był to stary ogrodowy stolik, taki z białego PCV. Tomasz podszedł do siatek z nowym prowiantem i zaczął go przeglądać.

— Hm. Co my tu mamy. Czekolada, to może nie? Konserwa mięsna „Wojak" to tak, papryka marynowana w occie, hm, delikatesy. — Mamy jeszcze piwa, dżem, chleb w puszkach, cukierki i inne ciekawostki. Łap! — Tomek mówiąc to rzucił Jackowi puszkę z konserwą i słoik z papryką. Tamten szybko otworzył oba pojemniki i wyjął stary chleb, który kupują od jednego z handlarzy na osiedlu. Tomasz podszedł do stolika, a tam czekało już na niego parę kromek z pasztetem i papryką.

— Wstaw czajnik na herbatę — Zawołał Tomek. Co jak co, ale herbaty to im nie brakowało. Mieli kilka kartonów. Wodę mieli ze starej studni, w piwnicy kościelnej. Przynosili sobie ją w karnistrach po benzynie. Stalowy czajniczek, wstawili na fajerkę elektryczną. Po czym Jacek usiadł na stary rower stacjonarny, do którego Tomek doczepił specjalną prądnicę. Jacek zaczął szybko pedałować, aby nie tracić energii z akumulatora. Jechał na tym rowerze ile wlezie. Akumulator powoli się ładował, a czajnik powoli zaczął terkotać. Jacek zszedł z roweru i zalał przygotowane przez Tomka szklani z woreczkami wypełnionymi czarną herbatą. Szklanki bardzo szybko wypełniły się ciepłym, bursztynowym napojem, który od tysięcy lat był doceniany przez wiele kultur i cywilizacji.

Po skończonej kolacji czekał ich odpoczynek i sen. Gdy sklepienie nad światem stawało się czarne jak smoła, na pustkowia wylegały różne masy plugastwa i zwyrodniałych ludzi. Krzyż na kościele, w którym przebywali Tomasz i Jacek nie raz był świadkiem takich okropieństw, że nie da się ich opisać słowami. Mężczyźni mieli zwyczaj czuwania jeden po drugim, w razie jakiś problemów. Mieli kilka wtargnięć do kościoła, zdarzały się przypadki gdy ktoś kręcił się tuż pod nimi, nie wchodzili jednak oni tajnym wejściem lecz ogólnodostępnym, które dla przestrachu Tomek i Jacek rozsmarowali kurzą krwią i rozrzuconymi gdzieniegdzie kościami roślinożernych ssaków. Kanibali bał się każdy. Nie można było u tych ludzi znaleźć choćby krzty człowieczeństwa.

Pierwsza warta należała do Tomka. Na czas warty zakładali przymocowany chałupniczą metodą do akumulatora mały noktowizor, który pozwalał im obserwować świat, który nie był widoczny dla wielu ludzi o tej godzinie. Tomek nałożył noktowizor, który lekko zniszczył jego irokeza. Jednakże dobrze widział wszystko poza wieżą świątyni. Godzina była już późna, około 3 w nocy, do tej pory nic znaczącego się nie działo, tylko jakieś łajzy kręciły się w kółko, próbując kogoś okraść. Nic nadzwyczajnego. Jednakże po chwili spokoju Tomasz dostrzegł dziwnych ludzi. Nie byli oni typowymi rozrabiakami, byli dobrze zorganizowani i mieli przy sobie broń maszynową. Wyglądali na jakichś dezerterów z wojska. Jeden nawet miał na sobie starą wojskową kurtkę.

— Eeee, kapitanie — rozległ się głuchy szept, wzmocniony totalną ciszą i kształtem placu wokół kościoła.

— Czego tam?! — Warknął, pokazując zęby lider grupy.

— Czego my tu szukamy? — Odpowiedział niski i do tego krępy człowiek w czarnej kurtce z poliestru.

— Takich dwóch kolesi, podobno mają gdzieś tu melinę i całkiem sporo sprzętu, zresztą już ci mówiłem — Ze znudzeniem dodał nieformalny wódź grupy wyrzutków.

— Ahha — Parsknął mężczyzna.

Tomasz po krótkiej chwili już nie miał na nosie noktowizora, lecz do czoła przyciśnięty stary wizjer na podczerwień, do którego był przymocowany karabin snajperski. Ta broń to była ostatnia linia obrony. Powoli śledził ruchy lidera.

— Jacek, Jacek, wstawaj — Zwrócił się cichym szeptem w stronę Jacka.

— Czego tam? Pali się, czy co? — Półprzytomnym głosem odezwał się mężczyzna z ogoloną głową.

— Mamy towarzystwo — wstawaj i bierz uzi.

Jacek jak poparzony zerwał się z legowiska i szybko stał w pełnej gotowości z przytwierdzonym do głowy noktowizorem i uzi w rękach.

— Zobacz, okrążają kościół, najwidoczniej szukają nas w okolicznych piwnicach. Dobrze, że wpadłem na ten pomysł, żeby się skryć na wieży — Odparł w stronę Jacka Tomasz.

— Ano. Ciekawe, kto to ? — Cicho jęknął Jacek.

— Nie wiem, Jacek, może łowcy głów? Ale na pewno dezerterzy z woja. Znają podstawowe techniki. — Mówiąc, przesuwał się od okna do okna śledząc przywódcę.

Mężczyźni po chwili znowu zebrali się przed kościołem, lecz teraz nie było słychać nic z tego co do siebie mówią. Najwidoczniej mówili do siebie szeptem.

— Jacek, weź załącz radio, może któryś zostawił włączoną krótkofalówkę. — Wskazując na ich własną radiostację stojącą w rogu wieży.

Jacek był sporym znawcą od radia i telefonii, kiedyś pracował w państwowym instytucie radiotelefonii jako technik. Ich antena miały ogromny zasięg, ponieważ za antenę robił piękny trzymetrowy miedziany krzyż na dachu kościoła. Często wyłapywali rozmowy szabrowników, czy inne, których nie rozumieli, ze względu na stosowany język. Tomasz podszedł do radiostacji, przyciszył gałką głośniki, po czym załączył radiostację.

— Jestem w tym kościele, przeszukuję go. — Odezwał się tajemniczy głos.

— Zrozumiałem, my tu stoimy i odwracamy uwagę, może nas obserwują ?

Jacek natychmiast wymierzył uzi w podłogę a Tomek niewzruszony trzymał broń wymierzoną w lidera grupy. Mężczyźni na zewnątrz stali spokojnie, jeden nawet zapalił sobie papierosa i stał tak centralnie przed wieżą kościoła. Trwało to dość dłuższą chwilę, radio nadal milczało.

— KURWA! — warknęło radio, w którym odezwał się ten tajemniczy głos.

— Czego klniesz, nie umiesz mówić ładnie? — tym razem Tomek rozpoznał mowę faceta w kurtce moro.

— Tutaj chyba są ci cali kanibale, bo wszędzie jest krew i kości. Mam to w dupie, nie chcę się stać drugim daniem! — Wręcz krzyknął głos w krótkofalówce.

— Nie pierdol, cieniasie. Masz tam iść i zbadać co tam jest! — Zdenerwowanym tonem warknął lider.

— Jak chcesz być drugim daniem, to sam to sprawdź! Ja schodzę!

Tomek spojrzał na Jacka z uśmiechem triumfu, tamten mu to odwzajemnił. Jednakże po chwili zobaczyli, że lider ruszył w kierunku kościoła. W przeciwną stronę wybiegł wielki i ciężko uzbrojony mężczyzna. Po chwili lider stanął twarzą w twarz z ciężkozbrojnym.

— Ty wielki słupie soli! Czego się boisz? — pukając się w głowę spytał.

— Kanibali. Ja nie pisałem się na MENU, jak chcesz sam ryzykuj, a my poczekamy — Z rękami na biodrach oznajmił o wiele wyższy od lidera mężczyzna.

— A idź w cholerę, sam sprawdzę! — na odejście lider walnął mocno drugiego w plecy i ruszył w kierunku budynku. W momencie kiedy lider zniknął, reszta przysiadła i zaczęła palić papierosy.

Tomek nadal obserwował mężczyzn, natomiast Jacek nadal mierzył w podłogę. Był to ich typowy system obronny. Jednakże nigdy nikt nie wpadł, że nad nim może być jeszcze jedno pomieszczenie. Każdy myślał, że to koniec drogi i się cofał. Po wielu wizytach nieproszonych gości Tomasz i Jacek zdecydowali o zamontowaniu wielu straszaków np. tej krwi i kości wołowych. Wielu tak się bało kanibali, że sama myśl o tych wynaturzonych ludziach napawała ich strachem i dreszczami na plecach. Po krótkiej chwili pod cienką podłogą usłyszeli bardzo cichy stukot butów. Był to herszt dezerterów. Po chwili usłyszeli głuche pukanie w podłogę a zarazem dach dla lidera.

— Ej, chłopy, tutaj jest jeszcze jedno pomieszczenie ! Chyba tam mają kryjówkę. — lider szybko zakomunikował to reszcie bandy.

Tomek i Jacek szybko zmobilizowali się. Tomek chwycił za starą szablę, której używał do cichego rozprawiania się z zagrożeniem. Po chwili dostrzegli, że deski, którymi zakrywali podłogę odchylają się a w ich pomieszczeniu pojawiał się jakiś długi kij.

— SZEFIE! — warknęło z całej siły radio na dole.

— Czego tam, kurwa! — warknął na cały głos lider.

— Mamy tutaj zagrożenie, to chyba kanibale ! — Zajęczał głos przez, radio.

Tomek i Jacek rzucili się w kierunku kratownicy, gdzie dostrzegli, tych samych mężczyzn z wymierzoną bronią przed siebie a przed nimi stało koło piętnastu ludzi. W ich oczach nie można było znaleźć nic ludzkiego, to już nie byli ludzie, to były zwierzęta pragnące mięsa. Po chwili z budynku wybiegł ich lider. Tłum powoli otaczał mężczyzn na dole. Ci jednak długo nie czekali, zanim tamci rozpoczęli atak, zaczęła się krwawa jatka. Dezerterzy używali ciężkiej broni, kładąc trupem ciągle kolejnych ludojadów. Nie minęło nawet pięć sekund, a wyszkoleni dezerterzy poradzili sobie z wędrownymi kanibalami.

— W mordę, dobrze, że to nie było gniazdo, co nie, szefie?! — Odezwał się drab w starej radzieckiej czapce...

— Matko! — wydarł się lider.

Wszyscy mężczyźni oprzytomnieli i zwrócili się ku liderowi, ten leżał z wbitym nożem w udo. Krwi było całkiem sporo. Mężczyźni jednak zamiast się zmartwić wybuchli śmiechem.

— Szefie, to tylko scyzoryk, przeżyjesz. Mało to razy oberwałeś nożem po nogach?

Po tych słowach jeden z mężczyzn ruszył do leżącego w jakiejś czarnej mazi lidera. Wyjął mu nóż z nogi, a ten wydarł się w niebogłosy. Chwycił torbę z naszytym czerwonym krzyżem i wyciągnął z niej igłę i nitkę chirurgiczną. Szybko przemył ranę jodyną i zszył pacjentowi nogę. Po czym pomógł mu wstać na nogi.

— No i co, szefo? Dobrze, że Adrian był sanitariuszem w woju nie? — Z wesołym wyrazem twarzy dodał największy z nich wszystkich żołdak.

— Ano, dobrze — z wykrzywioną gębą dodał smutno lider.

— A jak tam w środku? Był ktoś? — Zapytał człowiek z okrytą twarzą przez kominiarkę.

— Nie, cicho jak makiem zasiał, pewnie zabiliśmy właścicieli. Zresztą ten menel z parku nas okłamał. Trzeba mu obić pysk i już. Wracajmy do domu, chcę się napić ciepłej herbaty.

Po czym grupa uzbrojonych mężczyzn ruszyła skąd przyszła. Lider wyraźnie kulał ale szedł o własnych siłach. Prawdopodobnie kierowali się w stronę swojego legowiska. Minęli leżących w mieszance czarnej mazi i krwi kanibali. Po czym niespiesznie zniknęli z widoku.

— No i udało się Jacek, ani jedna noc bez trupa na koncie. — Tomek wyraźnie się zadowolił i odłożył broń na swoje miejsce. Jacek zrobił podobnie. Tomek podszedł do desek służących za sufit i podłogę jednocześnie, poprawił je i położył na nich pustak, który miał zapobiec ich podnoszeniu.

— To ja się kładę Jacek, teraz Ty pilnuj. Tomek szybko wsunął się w swoje legowisko i zaczął prędko chrapać.

*

Poranki wyglądały do prawdy malowniczo nad horyzontem, słońce w swoich brawach przechodziło od czerwieniu po piękną żółć. Ta pora dnia należała do najbezpieczniejszych. Kanibale rezygnowali ze swoich eskapad w miasto. O tej porze bali sie sprzątaczy, którzy za odpowiednie wynagrodzenie, po prostu ich zabijali. Na ogół tym ludziom płaciły jakieś miasta-państwa, które zgodnie z historyczną prawdą, co rusz powstawały

i upadały.. Jednakże ludzie nie potrafili żyć bez władzy zwierzchniej. Rządy takich miast-państw często tworzyły byłe szajki przestępcze. Jednym z takich państw — miast była kamienica przy byłej ulicy B. Prusa. Założycielem tego miasta był „Kaszana". Człowiek ten przed wojną był członkiem jednej z największych polskich mafii. Po wojnie Wojciech Matysiak, pseudonim „Kaszana" zebrał swoich cyngli w swoim domu rodzinnym i postanowił go bronić do upadłego. Jednakże okazało się, że chętnych do zamieszkania stało się tylu ludzi, że szajka kaszany zezwoliła im na zamieszkanie w chronionym obiekcie zamiast za uległość i złodziejskie podatki. W melinach Kaszany zawsze można było znaleźć najlepszych handlarzy. Dlatego też często widywano tam Tomka i Jacka. Ci postanowili zabrać wczoraj znalezione towary na handel i wymienić sobie je na coś innego. Droga do meliny Kaszany nie była trudna. Wystarczyło przejść kilka ulic i czekała na Tomka i Jacka wielka kamienica, która od momentu założenia miasta, zaczęła się wypełniać jak szklanka z dobrym piwem. Przywilej zamieszkania w kamienicy mieli bogacze i tylko Ci wybrani. W zamian za płacenie lichwiarskich czynszów otrzymywali złudę bezpieczeństwa. Na dole pięciopiętrowej kamienicy znajdował się ogólnodostępny bar-bazar, gdzie można było się napić pędzonego bimbru z jakiejś szarej masy bądź też wymienić się z kimś.

— U, kogo ja widzę, tajemniczy dresik w masce i stary panczur! — Warknął ochroniarz na bramce, który swoją posturą przypominał prędzej Pałac Kultury, w ręku trzymał porządnego kałacha, w drugiej ręce miał papierosa, marki Marlboro, istna rzadkość.

— Cześć, Janusz — Chóralnie odezwali się mężczyźni. Bramkarz wpuścił mężczyzn do baru pod grosikiem.

Bar był całkiem niezły, kiedyś w tym miejscu, o ile dobrze pamiętał Jacek, była jakaś restauracja dla burżujów. Pomieszczenie było całkiem spore, większe niż mogło by się wydawać z zewnątrz. Na przeciwległym końcu baru znajdowała się lada, gdzie barman szybkimi ruchami obsługiwał spragnionych mieszkańców tego specyficznego państwa oraz przyjezdnych. Przed ladą stał rządek wysokich krzeseł, na których siedzieli różni jegomoście począwszy od bardzo bogatego burżuja po obwoźnego handlarza. Wzdłuż ścian znajdowały się stoliki, które zajmowały całkiem sporo miejsca. W barze tym można było zjeść coś na ciepło. Jacek i Tomek nigdy z tego nie korzystali, po ostatnim przypadku zatrucia ludzi rtęcią. Szybkim ruchem mężczyźni udali się w kierunku lady, aby sprzedać barmanowi piwo, które było istnym rarytasem. Po

chwili mężczyźni doszli do lady i zasiedli na wysokich barmańskich krzesłach. Jacek jak zwykle twarz okrytą miał maską przeciwgazową. Tomasz kiwnął na barmana, ten zwinnymi kocimi ruchami podskoczył do mężczyzn.

— Co podać, panowie?!

— Chcesz kupić piwo z Tych? — Tomek delikatnie odchylił rękaw ukazując prawie nową puszkę bursztynowego trunku.

— Tyskie? No cóż nie często można było je spotkać. Ile za nie chcecie?

— Możesz dać dwa magazynki do uzi i „Marsa".

— U, panowie, coś drogo! — Barman z niesmakiem pokręcił głową.

— Panowie!

Po chwili gruby tubalny głos odezwał się za ich plecami, po czym dwie wielkie łapy wylądowały na barku Tomka i na barku Jacka. Przypominało to pogłaskanie przez ogromnego niedźwiedzia. Po chwili między ich głowami pojawiła się trzecia wielka owłosiona głowa. Spod ogromnej brody wyłonił się złoty uśmiech a oczy błyskały bursztynową poświatą. Barman widząc mężczyznę ukłonił się prawię w pas i odszedł do innego klienta. Tomek szybko wysunął dłoń i przywitał się z owłosionym mężczyzną, po chwili to samo zrobił Jacek.

— Co słychać, Kasza ? odezwał się pośpiesznie Jacek w kierunku olbrzyma.

— A po staremu, panowie, widziałem, że chcieliście mojemu barmanowi wcisnąć Tyskie! — Olbrzym lekko się obruszył i z grymasem złości pokiwał lekko palcem.

— Tak! To w końcu rarytas — Wstając ze stołka sprzeciwił się Jacek.

— Spokojnie Tomasz, kupię je od was za tyle, ile chcieliście, poza tym pamiętam o tym, że mam u was dług. Poza tym chciałbym wam coś pokazać.

— Co takiego? — Spytali chóralnie mężczyźni.

— Tajemnica i niespodzianka zarazem! Chodźcie za mną!

Olbrzym w eleganckim garniturze obrócił się na pięcie i ruszył w stronę drzwi prowadzących do kuchni baru. Tomek ruszył pierwszy a za nim Jacek. Przechodząc zauważyli, że klienci baru patrzą na nich z wielkim szacunkiem i strachem. Wynikało to z tego, że Kaszana był kiedyś bossem najgroźniejszej mafii w Polsce. Teraz był skromnym władcą i panem miasta-państwa. Kuchnia była całkiem czysta, wszędzie wisiały obrane ze skóry szczury, najwidoczniej miały robić za kotlety

schabowe. Kucharze szybko kroili szczury i robili z nich prawdziwe cuda. Kaszana po chwili skręcił w kolejne drzwi, które prowadziły do piwnicy. Schody tutaj były naprawdę strome, trzeba było się trzymać poręczy żeby nie spaść. Na dole stał rosły mężczyzna uzbrojony po zęby. Kaszana kiwnął na niego a ten wyciągnął klucze i otworzył zamek.

— Cześć, panowie! — Kiwnął na mężczyzn uzbrojony mężczyzna.

— Cześć, Mikołaj! — Warknęli razem.

Pomieszczenie było miejscem tortur, wcale nie przypominało piwnicy, było bardziej podobne do średniowiecznych lochów. Po środku siedział nagi mężczyzna, który był okładany pięściami przez rosłego faceta w kominiarce.

— Zostaw go, Julian! — Warknął Kaszana! — Ten natychmiast przestał, strzepał krew z rąk okrytych skórzanymi rękawicami.

—Cześć, Jacek! Cześć, Tomek! — Julian wesoło zwrócił się do znajomych.

— Cześć, Julian. — Odezwali się wzajemnie.

Kaszana podszedł do metalowego obrotowego fotela i odwrócił go w kierunku mężczyzn. Ci zobaczyli dobrze znanego sobie jegomościa z dziurawą nogą. Właściwie tylko po tym go poznali. Twarz menela przypominała raczej miazgę niż twarz.

— Moi chłopcy złapali go jak rozpowiadał o was i chciał na was przygotować jakąś wielką zasadzkę w tych zasranych ruinach. Podobno mu zrobiliście z nogi dziurę.

Facet na fotelu zaczął pojękiwać, próbując coś mówić ale niestety uniemożliwiało mu to kneble w jego ustach.

— Mmmmmm.

— Patrzcie, menel próbuje coś powiedzieć. — Kaszana z wyraźnym zaciekawieniem, zwrócił się w kierunku Juliana. – Julian, zdejmij mu knebel! posłuchamy co ma do powiedzenia.

Julian, który stał cały czas za mężczyzną prędko oswobodził związaną zmasakrowaną gębę!

— Wy skurwysyny! Ja wam, kurwa, dam! Porachuję wam wszystkie kości z moją bandą! A ty, Kaszana, też oberwiesz!

— Ha ha ha ha ha ha ha ha! — Kaszana i reszta sali wybuchła gremialnym śmiechem. — A to dobry żart, nie, panowie?! — Śmiejąc się próbował mówić człowiek o posturze niedźwiedzia – Julian, daj mu w mordę!

Julian szybko wymierzył cios aż tamten zaczął pluć krwią. Po czym założył knebel na zakrwawione usta. Po czym odwrócił fotel i zaciągnął go do jednej z cel.

— No, panowie, nie ma na co się gapić, facet nie jest już groźny, nic wam nie zrobi. Tym razem zapraszam do swojego biura.

Okazało się, że z piwnicy jest jeszcze jedno wyjście na klatkę schodową dla mieszkańców miasta-państwa. Drzwi także były pilnowane. Klatka schodowa była bardzo schludna, schody czyste, drzwi błyszczące, nawet okna na podwórko istniały. Biuro Kaszany było na trzecim piętrze. Było to stare mieszkanie Kaszany, które urządził na swoje biuro i mieszkanie zarazem. Na ciężkich dębowych drzwiach widniała złota tabliczka z napisem — wójt Wojciech Matysiak. Przed drzwiami stał kolejny uzbrojony gość, którego tym razem mężczyźni nie znali. Biuro Kaszany było urządzone dość gustownie, wszędzie wisiały drogie i stare obrazy, na środku stało stare drewniane biurko i piękny skórzany fotel. Na biurku znajdował się laptop. Cała kamienica posiadała zasilanie ze specjalnych generatorów, które zbudował jeden ze speców Kaszany. Były to generatory wiatrowe, które potrafiły zasilić w prąd kamienicę. Okna w biurze kaszany były zabezpieczone pancernymi płytami gdyż wychodziły na ruiny miasta. Mogło by się tak zdarzyć, że ktoś zechciał by skrócić życie Wojciecha.

— Panowie, siadajcie — ręką wskazał wielką skórzaną kanapę. — Co my tu mamy?

Tomek wyjął puszkę piwa i podał ją Kaszanie. Ten pośpiesznie otworzył ją i wydoił jednym duszkiem.

— Ach. Nie ma to jak zimne piwko. Jednakże trochę zwietrzałe i z posmakiem aluminium. No nic ale jak obiecałem to dotrzymam słowa!

Wojciech powolnym ruchem podszedł do sejfu, złapał swoją ogromną łapą pokrętło po czym zaczął nim kręcić, raz w prawo raz w lewo potem znowu w prawo, po czym sejf szczęknął i ukazał istne bogactwo. Zawartość sejfu przypominało jaskinie Alibaby. Wyciągnął magazynki do uzi i jednego „Marsa”. Po czym położył je na pięknym, starym dębowym biurku i szybko zatrzasnął pancerne drzwi od sejfu. Kaszana, choć monstrualnych rozmiarów był dość sprawny, mężczyźni nawet się nie zorientowali, kiedy ten zamknął sejf i znalazł się w pobliżu jednej ze szczelin, które umożliwiały obserwowanie świata zewnętrznego.

— Ech. Panowie, pamiętam jak rządziłem tym miastem. Teraz została mi moja kamienica. Każdy się mnie bał! A teraz? Coraz częściej

mamy tutaj ataki dzikusów i kanibali oraz jakichś innych band, lepiej uzbrojonych. Coraz bardziej mnie zastanawia, co nas czeka. Swoją drogą to zastanawiające jak szybko ludzie dziczeją, bez prądu, gazu oraz władzy. Zobaczcie tutaj, dałem im iluzję władzy i porządku, a te barany zrobią wszystko, aby tutaj żyć. Jak szybko by zdziczeli gdyby nie mieli ochrony, zwierzchniej władzy, prądu i gazu?

Po czym odwrócił się do mężczyzn, którzy siedzieli dość wyluzowanie, Tomek utworzył z nóg czwórkę, Jacek tym czasem słuchał uważnie wywodów Wojciecha. Tomek powstał podszedł do biurka zabrał zapłatę i podszedł do Kaszany.

— Ja też kiedyś byłem kimś! Pułkownikiem Wojska Polskiego. Jednakże wojna w Korei mnie wykończyła, dziewczyna mnie zdradziła, pracy nie mogłem znaleźć, wybrałem punk i anarchię. Ale tego, że te łajzy ze wschodu walną w nas grzybem, to się nie spodziewałem. Dobrze, że to promieniowanie nie jest tu takie silne. No cóż nic nie poradzimy, żyjmy tak jak przyszło nam żyć. W sumie jak nie ma władzy to jesteśmy wolni!

Kaszana wyraźnie się obruszył, po czym wesoło klepnął Tomka po ramieniu i poczęstował go papierosem.

— Dobrze, że noszę maskę gazową, to nie muszę biernie palić! — Z oburzeniem dodał Jacek.

— Ha ha ha ha ha ha — mężczyźni wyraźnie wybuchli śmiechem.

Po czym Tomek podszedł do Jacka klepnął go w gumową łepetynę i wyraźnie się wyszczerzył!

— Ty to masz pomysły!

Tomek i Jacek bardzo szybko opuścili skrawek totalitarnej cywilizacji i zmierzali ku pustkowiu pełnego świń, kanibali i innego barachła. Wszędzie walały się rozwalone konstrukcje budynków, do tego stopnia, że trudno było przejść przez zwałowiska gruntu, gruzy i szkła. Wielu próbowało się przedrzeć do samego centrum, ale w pewnym momencie droga się urywała na zarwanym moście, gdzie rzeka nie była już zwykłym niegroźnym potokiem, zamiast wody w jej korycie poruszała się jak wąż zielono-brunatna maź, na jej widok czujnik Geigera szalał niczym chory psychicznie w izolatce. Jedyna droga prowadziła starym tunelem serwisowym, które było nieźle ukryte wśród wielu studzienek kanalizacyjnych.

— Jacek, który to był właz? — Widząc dziesięć studzienek na niewielkim obszarze, nigdy nie pamiętał, który jest właściwy. Można by

otwierać po kolei, ale toksyczne wyziewy z kanalizacji niejednego już zatruły.

— Tamta z napisem TP S.A. — Jacek wyraźnie i nieelegancko wskazał paluchem na okrągłą, lekko zardzewiałą klapę.

Drabina była utrzymana w dobrym stanie, szybko zeszli po niej zamykając za sobą właz. Tomek, jako pierwszy zeskoczył z drabiny w odmęty czarnej dziury, z jednym tylko źródłem światła, latarką w jednej ręce a UZI w drugiej. Spokojnie przeczesał tunel szukając jakichś niepowołanych gości. Tunel był w środku wybetonowany jednakże gdzieniegdzie przebijały się spod niego zardzewiałe żebra łączące całą konstrukcję. Służył niegdyś kablom telefonicznym, które przechodziły na drugą stronę miasta. Być może tunel ten także był schronem, ponieważ rozwidlał się w pewnym miejscu a koniec korytarza zamykały solidne pancerne drzwi, których nie udało się nikomu sforsować. Drugi korytarz natomiast prowadził do samego środka zakazanych ziem. Ziemie te kiedyś były jednym z osiedli, które znajdowały się najbliżej strefy zero. Promieniowanie tam było tak silne, że przebywanie tam groziło groźnymi poparzeniami. Chyba, że ktoś znał specjalne podziemne korytarze, które prowadziły w dobrowolny zakątek w miarę bezpieczny sposób.

— Jacek, idziesz czy nie? – Tomek krzyczał z dużego dystansu w ciemnym podziemnym korytarzu, echo odbiło się głośnymi trzaskami o widoczny szkielet konstrukcyjny starego tunelu.

— Idę, idę, tylko znalazłem jakiś ślad i go analizuję, może byś to przyszedł i sprawdził, co to i kto zostawił ten ślad, specjalisto! – Wyraźnie oburzone echo wróciło do Tomka. Ten z kolei podszedł do klęczącego badawczo dresika w masce przeciwgazowej.

— Słuchaj, mógłbyś zdjąć tę maskę, ledwo rozumiem ten twój bełkot za tego zasranego lateksu.

– Ta, ta, ta, a kto będzie mi płuca naprawiał? Spece z Otwocka? A nie, to tam robili bomby atomowe. Daj mi spokój i lepiej spójrz na ten ślad, jakiś glan czy co? Jacek wyraźnie wskazywał znak odbity w zaskorupiałym ptasim guanie. Znak ten był odciskiem zwykłego buta, jednak był dziwnie znajomy dla Tomka, ten zachodził w głowie gdzie widział już takie ślady, po chwili krótkiego zamyślenia, był jasny tunel, przypomnienie, przykurzone przez piaski postapokalipsy.

— Kurde, taki odcisk widziałem raz w Korei, zostawił go jeden z członków grupy operacyjnej Szpon. Czyżby? – Tomek wyraźnie się zaniepokoił i posmutniał.

— Jaka, kurwa, grupa Szpona, skąd w ogóle poznałeś to po odbiciu jakiegoś glana. — Jacek szybko się wyprostował i spojrzał tajemniczo w oczy Tomka.

— No, wiesz, Jacek, oni mieli takie specjalne buty odporne na kule, radiacje i na ninja... gruba forsa na to poszła i podobno nikt nie zrobił takiego samego bieżnika, bo zapobiega on wdeptywaniu w miny. No mówię ci, cyber-buty. Ale czyżby ktoś przeżył? Przecież wojsko oberwało pierwsze od tych idiotów ze wschodu, świętowali zwycięstwo z Ruskimi pod Warszawą, to za chwilę mieli prawdziwe fajerwerki tam.

— E, tam, nie piernicz, przecież nikt z wojska nie przeżył, pamiętasz jak byliśmy w tej bazie wysuniętej 10 km za miastem?

— Pamiętam! – wrzasnął Jacek, o mało nas nie spaliło promieniowanie. Nawet jednego budynku nie było, tylko krater. Eh, to była kiedyś naprawdę duża jednostka pancerna, pamiętaj jak pracowała tutaj taka laska. No po wojnie miałem się z nią hajtać, ale zdążyła wyjść za mąż, za cwaniaka z jednostki. – Jacek z wyrazem współczucia podszedł do Tomka i poklepał go po plecach.

— Spokojnie stary, oni już nie żyją! – po czym krzywo się uśmiechnął, niestety przez maskę nic nie było widać.

— To ci dopiero pocieszenie! Spadaj na bambus banany prostować, prostaku. Po czym obrócił się na pięcie i podszedł do drabiny, która prowadziła na zewnątrz.

— Ty debilu — wrzasnął Jacek, przecież tutaj nie ma wyjścia, tylko sto metrów stąd. Tomek stojąc już pod klapą, zatrzymał się, spojrzał w dół na patrzącego ze złością Jacka.

— Zawalone.

— Co, zwalone, sam, kurwa, jesteś zwalony, masz jakiś problem zasrany brudasie!?

— Kurwa, debilu, ZAWALONE przejście dalej.

Jacek wyraźnie pojaśniał i szybko wszedł na drabinę. Tomek jednak zamierzył się i chciał glanem walnąć Jacka w twarz, ten jednak wiedział, że to tylko taki żart. Tomek powoli odsunął klapę odsłaniając starą ulicę, która świeciła pustkami przez jej całą szerokość. Czujnik Geigera ukryty w Jacka kurtce zaczął złowieszczo pikać. Promieniowanie było zbyt wysokie żeby można było tutaj bezpiecznie chodzić. W takich sytuacjach starano się przebiec dystans i narażać się na najmniejszą ilość promieniowania jonizującego. Tak też zrobili mężczyźni, szybko przebiegli dzielący ich dystans pomiędzy poszczególnymi studzienkami.

Ulice były puste i wypełniał je hałas trzeszczącego czujnika i stukotu butów. Tomek był sprawniejszy i szybciej dobiegł do drugiej studzienki szybko wyjął pręt i otworzył klapę.

— Jacek, dawaj!

Niestety odzewu nie było, mężczyzna obrócił się i zobaczył kolegę leżącego na kupie gruzu. Podbiegł do niego chwycił go za kaptur i szybko zaciągnął go do kanału.

— Jacek, żyjesz?! – mężczyzna wyraźnie się dusił. Szybko ściągnął z gęby dresika maskę przeciwgazową, a ten głęboko odetchnął i kaszlnął.

— Cholera, idioto, znowu ci się zapchał filtr. Ile razy mam mówić, ciężej oddychasz, to zmień filtr.

Jacek nieśpiesznie się ocknął i rozejrzał się w około, nad nim wisiał charakterystyczny łeb punka i znajome sklepienie z uwidocznimy zbrojeniami.

— Co się stało, biegłem, biegłem i ciemno nagle.

— Zemdlałeś, kretynie, wymieniaj ten filtr.

— Wiesz co, walić tę maskę i tak umrę prędzej czy później.

— Jak tam sobie chcesz, ale następnym razem nie będę cię ratował.

Ruiny, do których weszli mężczyźni były dość puste, a to ze względu na promieniowanie, które otaczało stare ruiny jak morze wyspę. Tutaj znajdowało się sporo miejsc, w których można było znaleźć coś ciekawego. Okolica była zwałowiskiem gruzu poprzetykanego przez zardzewiałe druty zbrojeniowe oraz poprzewracane auta i tramwaje, było to jedno z większych osiedli mieszkaniowych w mieście. Było tu kiedyś Tesco i tam nadal było sporo towaru, jedynym problemem na drodze było legowisko kanibali. Przejście do starej hali targowej prowadziło co prawda podziemnych korytarzem technicznym, ale do legowiska kanibali prowadziła jedna z dróg. A sam supermarket był miejscem ich częstych wypadów. Jedli niektóre tamtejsze produkty, ale mięska nie było, więc polowali na ludzi, którzy nieopatrznie przeszli na ich terytorium.

— Pamiętaj, Jacek, zobaczysz którego, to powiedz, a jak on nas zobaczy, to staraj się zabić po cichu. Ja nakręcę ten stary tłumik, nie można przecież ryzykować spotkania z całą hałastrą tych zwyrodnialców, a ja nie chcę zostać kiełbasą z grilla.

— Pewnie, że pamiętam. Dobra, chodźmy.

Marsz zajął im dosłownie chwilę, do przejścia mieli zaledwie dwieście metrów. Okolica poza małą dawką promieniowania nie była zbyt groźna, grasowały tutaj jedynie szczury i robale, które przy posiadaniu

jakiejkolwiek broni były groźne jak pluszowe misie. Drzwi do podziemnego korytarza wyglądały całkiem przeciętnie. Były to zwykłe stalowe drzwi prowadzące do transformatorów, pomieszczenie dawnej transformatorowni było opustoszałe, najwyraźniej ktoś stwierdził, że miedź tam zastosowana ma jakąś wartość. Na przeciwległej ścianie był mały wyłom, który ukazywał wydrążony w ziemi tajemniczy tunel, którego wielkość pozwalała tylko na czołganie się. Tunele takie kopały pokraki bądź kanibale, którzy chcieli się dostać do podziemnych bunkrów, wiele takich dziur już widzieli towarzysze niedoli w tej post-apokaliptycznej jaźni, jedynie kilka osiągnęło cel, większość stawała na ołowianych ścianach. Korytarz ten jednak nie prowadził do bunkra, wykopany był, aby umożliwić szybkie przedostawanie się kanibali z punktu a do b. Po przeczołganiu się ziemistymi korytarzami oczom duetu ukazał się długi ciemny betonowy korytarz, który prowadził pod legowiskiem krwiożerczych kanibali.

— Coś cicho tutaj, co nie, Tomek? – tunel był wyjątkowo spokojny dzisiejszego dnia, nie było słychać krzyków ofiar kanibali. Mogło to oznaczać dwie rzeczy, jedną bardzo pozytywną i najgorszy scenariusz – zasadzkę. Jacek powoli wysunął pistolet z kieszeni i wymierzył go w ciemny pusty tunel, powoli go przeczesał w oczekiwaniu na nagły atak, ten jednak nie nastąpił.

— Pewnie śpią, albo polują, chodźmy dalej, ale z zachowaniem bardzo wysokiej ostrożności. Nie możemy dać zrobić z siebie kotlety schabowe.

— Albo antrykoty – wesoło dodał Tomasz.

Marsz przebiegał wyjątkowo gładko, na odcinkach kiedyś toczonych mocnych walk o dostęp do żywnościowego centrum na przedmieściach pozostały tylko stosy czaszek i kości. Obaj mężczyźni mieli szczęście, tunele były bezpieczne, podczas gdy nad nimi mogły dziać się iście dantejskie sceny rodem z amerykańskiego koszmaru.

— Wilgotne dziś te tunele, zalało ich tam na górze czy co? – Tomasz wyraźnie zaniepokoił się kapiącą wodą z sufitu.

— E, tam, mój stary był górnikiem i mówił, że to normalne, pamiętaj, że żyjemy w Niecce Mazowieckiej i woda jest tutaj płytko. Po wojnie nikt nie odwadniał tych tuneli i woda się podniosła, nie zdziwiłbym się jak by tutaj kiedyś powstał podziemny tunel wodny. – Po czym jego śmiech rozniósł się po całym tunelu.

— Cicho, idioto! Przecież jesteśmy centralnie nad terenami kanibali, chyba nie chcesz zostać stekiem prawda?

— Jak już kimś zostać, to zimnymi nóżkami w galarecie, zawsze lubiłem tę potrawę. Pyszności, jak moja mama rozrabiała świńskie nóżki i przygotowywała galaretę to nie mogłem się doczekać. Pychota!

— Ja tam wolę karpia w galarecie, to dopiero delicje!

— Stać, kurwa wasza mać!

Nagle za nimi rozległ się głośny krzyk, odwróciwszy się zobaczyli jednego z kanibali, który mierzył do nich z AK-74. Mężczyźni stanęli jak wryci, nawet nie zauważyli kiedy mężczyzna znalazł się za nimi.

— E, chopy! Jedzenie przyszło w pułapkę! – Po chwili w tunelu zaroiło się od kanibali, było ich z 10 minimum. Otaczali ich równomiernym okręgiem, który powoli się zaciskał jak paszcza krokodyla na udzie antylopy.

— No, no, patrzcie jaki ten w dresie umięśniony, będzie dziś niezły grill. A ten z irokezem! — Kanibale już byli tak blisko, że mężczyźni czuli na swoich karkach ich krwawe oddechy. Tunel był ponuro ciemny i kapiąca woda zrównywała się z rytmem serc obu mężczyzn, sytuacja była doprawdy patowa. Niewielu wychodziło z tego żywcem, nawet siekiery, które trzęsły całymi pustkowiami. Po pustkowiach chodził taki jeden Marek, który kiedyś był starym zabijaką, co prawda uciekł, ale osiwiał strasznie i nie wydał z siebie ani słowa, ludzie podejrzewają, że oglądał śmierć swojego kompana.

— Co robimy, Tomek? – bardzo cichym szeptem Jacek zwrócił się do Tomka.

— Jak to, co?! Strzelaj!

Rozległ się niesamowity huk, kule świstały i odbijały się głośnym echem o ściany tunelu. Krzyk ludzi był niemiłosierny, a krew sikała po wszystkich ścianach. Łuski upadały na ziemię równym stukotem o wyżłobiony beton. Równy chlust osuwających się ciał wyścielał ponury korytarz bebechami i strzępami ciała. Gwałtownie zaczęta walka równie nagle się skończyła. Ciała kanibali walały się wszędzie, Tomek dzielnie stał z uzi w ręku, natomiast Jacek leżał twarzą w kałuży krwi i nie dawał oznak życia.

— Jacek, żyjesz? – Przytłumionym głosem spytał Tomek. – Niestety pytanie nie dało żadnej reakcji. Jednakże Tomasz nie dał za wygraną. Uklęknął przy Jacku i walną go silnym ciosem w plecy pełne krwi.

— Czego mnie trącasz! Kurwa! – Jacek lekkim głosem odezwał się.

— Żyjesz, stary psie! – Tomek radosnym głosem odezwał się i pomógł wstać koledze.

— Żyję, tylko ze stresu straciłem przytomność. O w mordę, oni wszyscy nie żyją? – rozejrzał się wokoło, a tam wszędzie walały się podziurawione trupy.

— A wiesz, tylko dwóch miało broń palną, najpierw ich stuknąłem a potem resztę. Ale coś mi tu nie pasuje, za mało ich jak na gniazdo. Chwila triumfu nie trwała długo z odmętów tunelu dochodził ich tętent ludzkich nóg, była to cała reszta stada. Według obserwacji tutaj ich było co najmniej ze 30, czyli drugie tyle wściekłych ludzi biegło po to, aby ich zabić i zjeść. Szybko rzucili się do ucieczki w stronę powrotną.

— Tomek! A co z Tesco?!

— Pierdolić Tesco, zalejemy tych sukinsynów! – Ucieczka nie miała szans, byli za wolni, goniący ich tłum dzikusów był coraz bliżej i bliżej. Słychać było tylko bluzgi i świńskie sapanie. Odgłosy kroków odbijały się gwałtownym echem o sklepienie. Po chwili przeskoczyli za rozlaną na ziemi kałużę, która utworzyła się od przeciekającego stropu, metalowych żeber. Tomasz szybko zerwał jeden z zardzewiałych granatów odłamkowych, wyciągnął starą rudawą zawleczkę i zrzucił sobie za plecy.

— Biegnij i na ziemie! za jeden, dwa, trzy, na ziemię, kurwa. – Mężczyźni rzucili się gwałtownie na glebę, a za ich plecami doszło do gwałtowniej detonacji dodatkowo skumulowanej poprzez zamkniętą przestrzeń, odgłos wybuchu był tak potężny, że mógł pozbawić słuchu. Wszędzie było pełno kurzu i dymu oraz zapachu ziemi. Mężczyźni leżeli tak, przez krótką chwilę, pierwszy wstał Jacek, otrzepał się z kurzu i dostrzegł za sobą górę ziemi z wystającymi elementami zbrojenia. Obracając się, zobaczył, że Tomek stoi z zadowoloną miną i kiwa głową w podziwie swoich umiejętności. Spojrzał się na niego i zaczął poruszać wargami, niestety, ale Jacek nic nie słyszał tylko przeraźliwy pisk w jego uszach. Zaczął mu pokazywać na migi, że nic nie słyszy. Zobaczył jak punk wesoło wybuchnął śmiechem.

— Hahahaha! Ale z ciebie dureń, jak ma być wybuch to otwiera się usta, wtedy cię całkiem nie ogłuszy!

Tamten nadal nie wiedział, o co chodzi. Tomek kiwnął mu, żeby z nim szedł a ten tak uczynił...

*

— Nie ma to jak w domu – dobrze, że była tam osłabiona konstrukcja i zalało tych gnojów. – Tomek wesoło tańczył i cieszył się, że uszedł z życiem.

— Ty, Tomek, przecież nas też mogło zalać, a ich nie! – Jacek nerwowo zdał sobie sprawę z tego faktu. Po czym klepnął się po czole i zbladł.

— Słuchaj, ja wolałbym utonąć niż być kotletem. Poza tym „no risk – no fun", co nie?

— A daj ty spokój! Lepiej zaparz herbatki. Ja wskoczę na rower i podgrzeję fajerkę. — Jacek zasiadał na rowerze zaczął szybko kręcić pedałami napędzając specjalną prądnicę, która szybko doprowadziła metalowy pręt służący za fajerkę do czerwoności, czajniczek szybko zaczął bulgotać i podskakiwać na rozgrzanej powierzchni. Tomek siedział na skrzynce i czekał z przygotowanymi szklankami, w których już wisiały woreczki z indyjską herbatką. Gdy gwizdek czajnika wielkim buchem pary oznajmił, że w środku panowała temperatura 100 stopni, Jacek zszedł z prowizorycznej prądnicy i zgarnął po drodze czajnik, po czym szybko zalał dwie wyszczerbione szklaneczki. Usiadł na skrzynce obok Tomka i zaczął rozmyślać.

— Eh. Pamiętasz jak to kiedyś było? Kebab u Turasa na rogu? Społem, gdzie nigdy nic nie było. Pamiętam taką sytuację, idę po maggi do zupy. Chodzę między tymi półkami i chodzę... Wiele przypraw było, ale maggi? Skąd! Nigdzie ani widu ani słychu.

— Tak, wiem, też tak miałem. Dlatego zrezygnowałem z kupowania w Społemach. Przeniosłem się do Biedronki. Tam to zawsze wszystko jest, a jak potrzebuje coś luksusowego, to idę do Almy, tzn. chodziłem.

— Fajnie jest sobie powspominać, co nie, Tomasz? Teraz to tylko możemy wspominać co było. Zresztą zobacz jak szybko ludzie zdziczeli! Nawet w filmach tak szybko to się nie działo, a tu proszę. Zaskakujące.

— Faktycznie, zaskakujące. Mnie najbardziej ciekawią kanibale, przecież oni też byli normalnymi ludźmi. A co z nimi głód zrobił. Raz widziałem wśród nich Jolkę ze spożywczaka. Ale ona zawsze była jakaś inna.

Rozmowę przerwał gwałtowny śmiech i krzyk! Mężczyźni zerwali się na równe nogi, rozsunęli drewniane deski służące za żaluzje w wieży kościelnej. Na ulicy przed kościołem stała piękna rudna dziewczyna, na oko z siedemnaście lat. Była ubrana w brudną poszarpaną czarną sukienkę, jej lica były uwalane od atomowego pyłu. Była jak bezbronny

gołąbek otoczony przez bandę złowrogich kotów. Powoli otaczało ją troje obrzydliwych dziadów. Jeden już był w połowie nagi. Dziewczyna stała jak słup soli. Tomek prawie słyszał walenie jej serca.

— No chodź, cukiereczku, będziemy delikatni. — Odezwał się jeden z nich.

— Nie bój się, jesteśmy dżentelmenami. — Mówiąc to, jeden z nich nadal się rozbierał.

Mężczyźni spojrzeli się po sobie gwałtownie. Tomek podbiegł do przeciwległej ceglanej ściany i ściągnął z dwóch wystających prętów zbrojeniowych zawieszony karabin snajperski. Powoli wycelował w głowę jednego. Widok był wyśmienity, głowa była pięknie widoczna, wystarczyło pociągnięcie spustu i mógł ocalić dziewczynie życie.

— Tomek, to może być podpucha i chcą naszą lokalizację poznać! — Jacek głośnym szeptem zwrócił się do niego.

— Nie chrzań, przecież to te brudasy, co sobie gwałcą bezkarnie. Strzelę i będzie po nich. — Tomek przymierzał się do strzału.

Gwałciciele byli coraz bliżej i bliżej, najwidoczniej napawali się strachem rudej małolaty. Ta z kolei zaczęła głośno krzyczeć i wołać o pomoc. Czuła się taka bezradna. Co mogła zrobić? uciekać? Ale gdzie, wszędzie by ją dopadli. Tomasz śledził pilnie jedną głowę i jego palec zbliżał się do zwolnienia pocisku. Nagle Jacek złapał lufę i próbował powstrzymać Tomka, na jego twarzy ukazał się grymas świadczący o woli przeżycia i nie ujawniania swojej pozycji. Tomek jednak wyszarpnął karabin i strzelił. Kula rozpłatała głowę jednego z gwałcicieli na pół. Ciało bezwładne padło na ulicę wydając charakterystyczny chlust. Jego wzrok przez wizjer powędrował na następny cel, który jednak leżał już martwy na ulicy.

— Jak żeś to zrobił?! Jednym strzałem rozwaliłeś trzech? Jakiś trójkątny rykoszet? — Jacek powiedział to bardzo głośno z wielkim zdziwieniem w głosie, którego echo rozeszło się w pustej wieży i wydostało się szparami w murze na zewnątrz. Dziewczyna aż przysiadła z wrażenia, jednak się nie ruszała.

— Nie chrzań, Jacek! Ja dobrze strzelam, ale nie aż tak. Coś tu nie jest tak jak trzeba. — Po chwili z ruin wyszło 10 dziwnie ubranych gości z zakrytymi oczami przez noktowizory. Doprawdy nie było ich widać , pojawili się jak jakieś zaczarowane zjawy.

— Nic szanownej panience nie jest? — Zapytał najwyższy ze wszystkich, podając delikatnie dłoń okrytą przez zielono — oliwkową rękawiczkę z odkrytymi palcami.

— Nieee. Nic mi nie jest, żyję. A kim wy jesteście? — Mężczyzna odkrył narzędzie do noktowizji i pokazał swoje zielone oczy i grube brwi.

— My? Można powiedzieć, że Ślązakami, co nie, chopy? — Spytał wesoło odwracając się do kompanów, trzymając karabin oparty na ramieniu.

— Ano, prawdo, pułkowniku Alojzy! — Potwierdzili chóralnie mężczyźni.

— Ha ha. — Wesoło się zaśmiał pułkownik. — Ano chopy, zaopiekujta się dziołchą. — Po czym założył noktowizor na oczy i podszedł bliżej kościoła, spojrzał się bezpośrednio na Tomka, który oglądał całą sytuację w osłupieniu. — Wy tam! — krzyknął z całych sił. — Wyłazić!

— Nie mówiłem, że to podpucha! — Jacek wrzasnął najgłośniej jak tylko mógł wprost do ucha Tomka.

— Żadna podpucha! Macie pięć minut na wyjście, albo odpalimy w was rakietkę! — wrzasnął pułkownik.

— Nie mamy wyjścia Jacek, musimy wyjść. Zobacz co targa na plecach jeden z nich, to jevelin, a z nim szans nie mamy. Jak odpali w nas to gówno to zostanie z nas krwawa miazga.

— Ale nie wiemy kto to! A jak nas zabiją? Tomek!

— Nie panikuj, spokojnie! – Tomek pochwycił Jacka za rękę i zaciągnął po schodach w dół, szli ponurymi korytarzami aż w pewnym momencie pojawili się przed uzbrojoną bandą.

— Ręce do góry cwaniaczki! — Jeden z uzbrojonych po zęby żołnierzy rzucił gwałtowne hasło w stronę dziwnych kompanów. Mężczyźni posłusznie podnieśli ręce w geście uległości. Żołnierz stojący najbliżej nich podszedł do nich, położył ręce na ciele jednego i zaczął szukać niebezpiecznych przedmiotów.

— Czyści panie pułkowniku. – Żołnierz stanął za mężczyznami i trzymał broń w pogotowiu.

— Godojcie! – Pułkownik gwałtownie wrzasnął po czym uspokoił się i delikatnym tonem dodał – Kim jesteście? — Mężczyźni spojrzeli się po sobie po czym Tomasz odważył się i zabrał głos.

— Jesteśmy ocalałymi zagładę nuklearną, którą zgotowali nam Azjaci. – Pułkownik uśmiechnął się po czym przybliżył się do Tomka i poklepał go po ramieniu.

— Kolego, nie miej mnie za idiotę! – Pułkownik zdenerwował się i lekko zaczerwienił – Przecież widzę, że żyjesz! Poza tym pierwsze rakiety odpaliły arabusy. Zresztą czy to takie ważne kto zaczął? Osmalili nam kraj i teraz nie da się w nim normalnie żyć. Uzbrojone bandy, kanibale. Co to za świat, a wy kim jesteście!?

— M... my – zaciął się Jacek, gdy nagle jego charyzma dała górę i zaczął nawijać jak szalony — Jesteśmy mieszkańcami tego miasta i gdy wybuchła wojna i pierwsze rakiety rozwaliły większe miasta koło nas postanowiliśmy się schronić w starych osiedlowych bunkrach przeciwlotniczych, dobrze, że promieniowanie nie było duże i po pewnym czasie mogliśmy wyjść na powierzchnię, od tej pory próbujemy przeżyć. A wy do cholery kim jesteście! Wojsko Polskie czy co?

— Kiedyś tak, dzisiaj można nas bardziej nazwać najemnikami, chociaż dla nikogo nie pracujemy, kontakt z jednostką straciliśmy dawno temu, ostatnie raporty jakie do nas dochodziły nadawane były spod Kutna, proszono wszystkich ocalałych wojskowych o pozostanie na miejscu w celu zabezpieczenie lokalnego terenu. Tak zrobiliśmy zabezpieczyliśmy część wschodniej granicy wraz z innymi żołdakami, jednakże nadszedł na nas atak jakiś dzikusów i zostaliśmy tylko my. Musieliśmy odejść i szukać kogoś z naszych, jednakże nie udało się to nam, każda znana nam baza na wschodzie była dziurą w ziemi. Idziemy więc do Kutna, ostatni komunikat musi o czymś świadczyć. Ale kto wie co tam zastaniemy, minęło dużo czasu, a nasz marsz trwa zdecydowanie za długo! Bo co krok musimy z kimś walczyć, albo kogoś ratować z opresji. – Pułkownik zasmucił się i odwrócił się w stronę swoich kolegów – Ale idziemy tam może się uda. A Ty gościu z Irokezem, coś Twoja gęba mi mówi!

— Możliwe, że się znamy też kiedyś służyłem w wojsku.

— Byłeś w Korei? – Pułkownik przyjrzał się Tomkowi bliżej.

— Tak właśnie!

— Ja też, może stamtąd się znamy? Zresztą widzę, że macie poczciwe facjaty, macie jakieś uzbrojenie? Coś co mogło by nam się przydać?

— Coś tam się zawsze znajdzie.

— Chłopaki opuście ręce, jesteście swoje chopy, ale pamiętajcie jeden fałszywy ruch, a Mirek was załatwi – pułkownik przymrużył jedno oko, wszyscy po tym geście ryknęli śmiechem i atmosfera stała się luźna. Po zaprowadzeniu wszystkich do wieży i krótkiej chwili odpoczynku,

wszyscy uzbrojeni po żeby ruszyli ciemnymi ulicami na zachód w kierunku Kutna, miejsca gdzie cywilizacja może mieć swój ostatni bastion.